

ANNA  
**KĄTOCH**  
NIEPEŁNIA



ANNA  
**KAŃTOCH**  
NIEPEŁNIA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2017

Copyright © 2017 by Anna Kańtoch  
Copyright © 2017 by Powergraph  
Copyright © 2017 for the illustrations and cover illustration by Eshma by iStock  
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: iStock  
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączy dystrybutor:  
„FK Olesiejuk” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel.: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
[sklep.powergraph.pl](http://sklep.powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

Druk: READ ME

**ISBN 978-83-64384-70-7**  
Printed in Poland, EU

# I.

## Opowieść o śniegu i krwi

Nie pamiętam, które z nas umarło tamtego dnia, wiem jedynie, że ta historia zaczyna się od śmierci. Od czerwonego świtu i czerwonej krwi, której smugi znaczyły białe ściany kuchni. Tak dużo czerwieni i bieli... Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem zasypane śniegiem pole ciągnące się aż do odległej ściany drzew; opalizująca różowo w słońcu, zimna i gładka przestrzeń tylko w jednym miejscu zbrukana była śladami stóp. Ktoś wyszedł z lasu i podszedł do okna. Ktoś albo coś, bo nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, czy to ślady stóp człowieka. Świt kładł w nich purpurowe cienie i przez chwilę wyglądało to tak, jakby wgłębienia w śniegu też wypełnione były krwią.

W moich żyłach krążył alkohol, a muzyka wybijała wewnętrzny rytm na ścianach naczyń.

*Girl of sixteen  
Whole life ahead of her  
Slashed her wrists  
Bored with life  
Didn't succeed  
Thank the Lord  
For small mercies*

Biały dom z białą kuchnią nie należał do nas, nie był też w żaden sposób ważny – po prostu wydawał się dobrym miejscem, żeby tu umrzeć. A może wybraliśmy go z innego powodu? Wielu rzeczy już nie pamiętałem, a kolejne wspomnienia wyciekały ze mnie, tak jak z umierającej Agnieszki wyciekała na dywan krew. Zostawiając na podłodze czerwone ślady, podszedłem do nie mojej szafki, wyjąłem nie moją kawę i zaparzyłem ją. Piłem gorący płyn, słuchałem muzyki i kiwałem do rytmu stopą. Wiedziałem, że zapytają mnie później, dlaczego to zrobiłem, czemu piłem kawę, kiedy moja siostra umierała, a ja nie będę potrafił odpowiedzieć. To miało sens wtedy, w tamtej chwili, gdy wciąż znajdowałem się po drugiej stronie, wewnątrz, a nie na zewnątrz. Bo sens wewnątrz jest zupełnie inny niż na zewnątrz, ten pierwszy jest sensem godziny o świcie, kiedy człowiek otwiera sobie żyły, drugi – sensem słonecznego południa, gdy ten sam człowiek próbuje odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Inne słowa, inne myślenie. My i oni, z przeciwnej strony, jesteśmy jak ludzie mówiący językami tak

odmiennymi, że kiedy przekroczę granicę, przestanę rozumieć dawnego siebie. Jeszcze przez chwilę będę pamiętać, że straciłem coś ważnego, ale w końcu nawet to minie.

*Fighting back the tears  
Mother reads the note again  
Sixteen candles burn in her mind  
She takes the blame  
It's always the same  
She goes down on her knees  
And prays*

Miało sens, tyle będę potrafił powiedzieć.

I jeszcze: od zawsze byliśmy razem, bo z jakiegoś powodu będzie mi się wydawało, że to właściwe słowa, choć zapomnę już, dlaczego takie miałyby być.

To mój początek, dla starszej aspirantki Elżbiety Budzioł wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Dla niej ta historia zaczęła się od telefonu.

\*\*\*

Potrafię ją sobie wyobrazić – oto kobieta ani stara, ani młoda, nie ładna i nie brzydka, w dzinsach i tanim chińskim swetrze z rodzaju tych, jakie można kupić na miejskim targowisku. Jasne, farbowane włosy nosi związane w kucyk zwyczajną gumką. Z tym sportowym stylem kontrastują mocno umalowane rzęsy i czerwona szminka, której ślad został na brzegu

kubka z kawą. Starsza aspirant pali papierosa, dym unosi się leniwie wąską smuzką, wsiąka w szare tapety i dawno nieprane firanki. Za oknem wstaje dzień, słońce z trudem przedziera się przez brudne szyby i pada na biurko zmęczoną smugą, w której więcej jest kurzu niż światła. Poranna zmiana się spóźnia i kobieta układa już w głowie słowa wyrzutu – będzie narzekać, bo tego od niej oczekują, choć w gruncie rzeczy jest z tego spóźnienia zadowolona. Lubi nocne dyżury, samotność i spokój. Starsza aspirant narzeka też, jak wszyscy w jej wieku, na nieubłagany upływ czasu, na zdrowie, niskie pensje i nudną pracę, w głębi duszy jednak sądzi, że niewiele się zmieniła od czasów studenckich, chce wierzyć, że wciąż zależy jej tak samo. Od jakiegoś czasu to już nieprawda, ale kobieta jeszcze o tym nie wie.

Starsza aspirant dopija kawę, kiedy dzwoni telefon.

W tej chwili ważą się nasze losy. Kobieta wyciąga rękę, a potem ją cofa. Mogłaby udawać, że nie słyszała, że właśnie zbierała się do wyjścia albo była w ubikacji. Dlaczego nie? To pewnie i tak nic ważnego, w tym zapomnianym przez Boga miejscu nie dzieją się ważne rzeczy. Poza tym jej zmiana się skończyła, ktoś inny powinien odebrać ten telefon. Starsza aspirant nie ma nic przeciwko przedłużającym się dyżurom, pod warunkiem że nie musi wychodzić na styczniowy ziąb.

Wreszcie jednak zwycięża poczucie obowiązku – a może zwyczajna ciekawość – i Elżbieta Budzioł podnosi słuchawkę.



Potrafę sobie wyobrazić, jak marszczy brwi, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Niepokój, potem niedowierzanie, znów niepokój.

— To jakiś żart? — pyta, zaraz zirytowana na samą siebie, bo miało to zabrzmieć groźnie, a zabrzmiało niespodziewanie prosząco. Ostatnia szansa dla głosu po drugiej stronie linii, by roześmiał się i potwierdził, że tak, tylko żart. Zamiast śmiechu słyszy jednak tylko ciche kliknięcie i połączenie zostaje zerwane.

Dochodzi siódma rano, na wschodzie niebo nadal jest czyste, ale z północy nadciągają już ciężkie od śniegu chmury. Starsza aspirant zobaczy je, kiedy wyjdzie przed komisariat, a potem powie do Łukasza z porannej zmiany, spóźnionego i wciąż jeszcze rozespanego, że trzeba się spieszyć, bo lada moment zacznie sypać. On skinie głową, myśląc przy tym, że pośpiech nie ma sensu, to pewnie i tak kiepski żart, jednak po chwili niepokój Elżbiety udzieli się także jemu i Łukasz na oblodzonej drodze mocniej wciśnie pedał gazu.

W białej kuchni znajdą dwa białe ciała, jedno żywe, drugie martwe, jedno męskie, drugie żeńskie. I krew, tak dużo ciepłej jeszcze, czerwonej krwi. Starsza aspirant podejdzie do mnie z surowym wyrazem twarzy upodabniającym ją do nauczycielki, ale ta surowość nie przesłoni niepokoju wyzierającego jej z oczu.

— Co tu się stało? — zapyta.

Właściwe słowa będę miał na końcu języka, już gotowe, by je wypowiedzieć, tak oczywiste i wyjaśniające

wszystko. Zanim jednak otworzę usta, znikną, a ja zostanę z pustką w głowie i uczuciem straty, które po chwili rozwieje się jak sen.

— Zawsze byliśmy razem — oznajmię, bo z jakiegoś powodu wyda mi się, że to właściwa odpowiedź.

Tak właśnie to sobie wyobrażam.

\*\*\*

— Nie rozumiem. Co znaczy: zawsze byliśmy razem? Pan i kto?

— Agnieszka, moja siostra.

— Ach. — Kobieta, która przedstawiła się jako starsza aspirant Elżbieta Budzioł, starannie gasiła papierosa w popielniczce, podczas gdy ja próbowałem domyślić się, co oznacza owo „ach”. Ach, jakie to wzruszające, ach, oczywiście, ach, co za bzdury?

Skuliłem się. Pokój, w którym siedzieliśmy, był ciasny, z piętrzącymi się pod ścianami szafkami pełnymi zakurzonych akt i przedpotopowym komputerem na biurku. Jedyne kolorowe akcenty stanowił zawieszony na ścianie obrazek przedstawiający uśmiechniętą różową żyrafę w pomarańczowej czapce. W powietrzu, zmieszana z papierosowym dymem, unosiła się wilgoć o zapachu mokrej wełny — pamiętałem tę woń z dzieciństwa, z czasów wyjazdów na narty, tyle że tutaj jej źródłem były nie przemoczone skarpetki, lecz suszący się na kaloryferze stary roboczy sweter.

— Źle się czuję — powiedziałem. — Chyba muszę jechać do szpitala.

— Przykro mi. — Starsza aspirant skinęła w stronę okna, za którym wiatr miotał się, ciskając w szybę płatki śniegu przypominające roje arktycznych owadów o kruchych, geometrycznych ciałach. — To najgorsza śnieżycyca, jaką pamiętam. Nie ruszymy się stąd przez parę godzin.

Przepraszający uśmiech zawisł w dymnej szarości pokoju niczym uśmiech kota z Cheshire.

— Może się pan położyć, w drugim pokoju mamy tapczan. Jak tylko przestanie sypać, pojedziemy do lekarza. — Zawahała się. — Kiedy pana znaleźliśmy, nieźle nas pan wystraszył. Był pan błydy jak śmierć, nic zresztą dziwnego, biorąc pod uwagę... okoliczności.

Okoliczności. Idealny, krągły i gładki eufemizm na określenie faktu, że znaleziono mnie tuż obok ciała mojej martwej siostry.

— Powinniście wezwać karetkę — powiedziałem, a starsza aspirant pokręciła głową.

— Nie dojechałaby tam, pod górę. No i lada moment miało zacząć sypać.

Gładkie, prawdopodobne wyjaśnienie. A jednak wiedziała, że popełnili błąd, i była teraz czujna, najwyraźniej zastanawiając się, czy ja też o tym wiem. Być może dlatego właśnie traktowali mnie zaskakująco dobrze – biorąc pod uwagę okoliczności.

— To nie jest oficjalne przesłuchanie? — upewniłem się.

— Oczywiście, że nie. Po prostu rozmawiamy, żeby zabić jakoś czas.

- Muszę iść do łazienki.
  - Słabo panu? Jeśli czegoś pan potrzebuje...
  - Muszę tylko do łazienki.
- Starsza aspirant westchnęła.
- Proszę za mną.

Zaprowadziła mnie do pomieszczenia wielkości schowka na szczotki, gdzie zagrzybioną przestrzenią dzieliły się solidarnie muszla klozetowa oraz wiadro z frędzlowatym mopem. Oparłem dłonie o umywalkę i spojrzałem w upstrzone ciemnymi plamami lustro. Kręciło mi się w głowie, w gardle drapała kredowa i wilgotna woń osypującego się ze ścian tynku. Moja twarz była tak bardzo podobna do jej twarzy, piegowata, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i wąskimi ustami. Kiedy przyjechaliśmy, pozwolili mi się przebrać, bo moja bluza była sztywna od krwi. Wyjąłem wtedy z naszego wspólnego plecaka zapasowy sweter Agnieszki – sam niczego na zmianę nie zabrałem – i teraz nosiłem różowy kardigan, wciąż pachnący cytrusami. Pachnący moją siostrą.

Bliźnięta, od zawsze razem. Aż do teraz, bo dzisiaj wyciąłem z siebie tę więź.

W kieszeni spodni schowałem żyletkę, maleńką i tak cienką, że nie zauważyli jej, kiedy mnie obmacywali, żeby sprawdzić, czy nie mam przy sobie niczego niebezpiecznego. Wyjąłem ją niezgrabnie, wrzuciłem do klozetu i nacisnąłem spłuczkę. Szum na moment zagłuszył wycie wiatru. Patrzyłem, jak kawałek metalu wiruje, połyskując srebrzyście, lecz kiedy woda

opadła, żyletka wciąż tam była, wciąż leżała na dnie muszli niczym miniaturowy stateczek, który zatonął podczas sztormu.

Spluczka napełniała się ponownie. Trwało to nieznośnie długo, a ja nie mogłem robić nic innego, jak tylko tkwić nieruchomo w ciasnej przestrzeni między brudną umywalką i jeszcze brudniejszym wiadrem. I czekać. I słuchać. Zimny wiatr wślizgiwał się przez szparę w maleńkim okienku i łaskotał mnie w kark, a ja nadstawiałem uszu, wychwytyując fragmenty prowadzonego na korytarzu dialogu. Elżbieta Budzioł i drugi policjant o imieniu Łukasz mówili szeptem, ale na szczęście zawsze miałem dobry słuch.

— ... tamten telefon wieczorem. I teraz drugi. On nie żyje, tak właśnie powiedział. Albo powiedziała. Myślisz, że ktoś mógł się pomylić? Dla mnie to wygląda dziwnie... Poza tym tam nie ma telefonu, najbliższy jest w domu parę kilometrów dalej.

— A komórka chłopaka?

— Sprawdziłem połączenia, nikt z niej nie dzwonił.

— W takim razie kto nas zawiadomił?

— Diabli wiedzą. Tak czy inaczej, ktoś tam jeszcze był. Wyszedł z lasu i podszedł do okna w kuchni. Zdążyłem zrobić parę zdjęć, zanim zaczęło sypać. Zobacz...

Ściszył głos tak bardzo, że reszta mi umknęła. Potem wyłapałem coś o tym, że Łukasz nie zauważył próbných nacięć na nadgarstkach, nie mówiąc już o tym, że rana na prawej ręce jest równie głęboka jak

ta na lewej, a to przecież niemożliwe w przypadku samobójstwa. Albo przynajmniej mało prawdopodobne. Znowu kilka szeptanych zdań, których nie zrozumiałem, i wreszcie słowo „desperacja”, twarde i jasne jak dźwięk sosnowych kul uderzających o podłogę. Z lustra patrzyła na mnie twarz Agnieszki, blada i przerażona.

Moja twarz.

Kiedy spłuczka przestała szumieć, nacisnąłem jeszcze raz, ale żyłeczka znowu przetrwała, z obrzydzeniem wyłowiłem ją więc, wciąż niezgrabnie, palce wciąż nie chciały mnie słuchać, i schowałem za pordzewiałą rurę pod umywalką. Będzie musiało wystarczyć.

Starsza aspirant zapukała w drzwi.

— Dobrze się pan czuje?

— Tak! — odkrzyknąłem. — Już wychodzę.

Patrzyła na mnie inaczej niż wcześniej, bardziej podejrzliwie, z większą uwagą. Tajemnica, lepka i brązowa, łączyła ją z Łukaszem niewidzialnymi nićmi. To słowo jest gęste i samą swoją obecnością sprawia, że powietrze nagle nabiera ciężaru i trudniej się oddycha.

Wróciliśmy do pokoju, mijając po drodze wiszący na drzwiach kalendarz rolniczy. Po raz pierwszy zwróciłem na niego uwagę, spojrzałem na spokojny pysk łaciatej krowy, a potem na datę, wypisaną wyraźnymi czerwonymi literami: Styczeń 2004. Nagle zaschło mi w ustach, a świat wokół zawirował.

Byłem pewien, że to nieaktualna data, ale nie potrafiłem podać właściwej.

Poza tym tęskniłem za Agnieszką tak bardzo, że każda sekunda rozdzierała mi serce na strzępy.

\*\*\*

— Zacznijmy od początku. — Starsza aspirant zapaliła kolejnego papierosa. — Pan i pana siostra włamywaliście się do zamkniętych na zimę domów, żeby spędzić tam trochę czasu, tak? Nie kradliście, czasem tylko trochę alkoholu z barku albo jedzenia z lodówki, jeśli jakieś było. Taka tam niewinna studencka rozrywka, zgadza się?

Nie zwróciłem uwagi na ironię w jej głosie, skinąłem jedynie głową. Przecież naprawdę nie robiliśmy niczego złego. Ludziom nie ubyło pieniędzy od tego, że posiedzieliśmy na ich kanapach albo pooglądaliśmy telewizję. Stratę butelki wina czy pudełka lodów wyciągniętych z zamrażalnika też mogli przeżyć. Robiliśmy to dla zabawy, nie żeby kogoś skrzywdzić. Nie czułem się winny. Nie za to – za wiele innych rzeczy tak, ale nie za to. Mieliśmy nawet na tyle wyczucia, by nie zaglądać do szaf i szuflad, najczęściej nastawialiśmy tylko muzykę, a potem siedzieliśmy przy niej albo tańczyliśmy w salonie. Ciepłe ciało Agnieszki pod moimi dłońmi, jej oddech łaskoczący w szyję, kiedy śmiała się, depcząc mi po stopach. Jedwabisty szept wślizgujący się w ucho: „Wiesz, jaki to starość? Ta piosenka ma co najmniej pięćdziesiąt lat”.

- Zgadza się?
- Tak.
- Co się stało tym razem?

Milczałem. Spod rękawa wysunęła się czerwona strużka i łaskocząc, spłynęła na moją dłoń. Wytarłem krew w spodnie, zanim starsza aspirant zdążyła zauważyć.

— Była tam jeszcze jedna osoba, prawda? Widzieliśmy ślady prowadzące z lasu. I ktoś zadzwonił do nas. To nie był pan.

Nie była to też Agnieszka, dopowiedziałem w myślach. Tamten głos nie należał ani do dziewczyny, ani do chłopaka, był inny, tak jak inne były prowadzące z lasu ślady.

Obce. Krótkie, obłe słowo, które źle leży w ustach i które raczej wypłuwa się, niż wypowiada. Ma smak tranu i tłustej czerni, jak pajak przyczajony za zardzewiałą rurą pod umywalką, tam, gdzie tkwi już żyletka.

Obce.

Starsza aspirant nie wypłula tego słowa. Widziałem, jak zapuszcza w nią korzenie i porusza się pod skórą. Czula się z nim niewygodnie, wyraźnie nieprzyzwyczajona do poufałości z czymś w tak oczywisty sposób łamiącym jej codzienność. Była tylko wiejską policjantką, w dzień dbała o to, żeby miejscowe pijaczki nie awanturowały się za bardzo pod sklepem, a wieczorami oglądała z dzieckiem telewizję. Wiedziałem, że jest matką, bo różowa żyrafa



w pomarańczowej czapce niewątpliwie narysowana została dziecięcą ręką.

— Jeśli był tam ktoś jeszcze, to może panu pomóc. W pana sytuacji... — Wzruszyła ramionami. Nie musiała kończyć, sam doskonale wiedziałem, że moja sytuacja nie wygląda dobrze. Nawet jeśli nie znajdą żyletki, nawet jeśli jasne, twarde słowo „desperacja” uznają za wytłumaczenie zagadki, dlaczego rany na obu rękach mojej siostry nie wyglądają na samobójcze.

— Wczorajem przysłała jakaś para i pytali o dziewczynę, która podobno zaginęła. Nie wiem, o co im chodziło, chyba pomylili domy.

— Nie znał ich pan?

— Nie.

— Dziwne. Ten dom to nie jest miejsce, do którego można trafić przypadkiem.

Zgodziłem się z nią, że owszem, dziwne. I może też trochę obce.

Starsza aspirant poruszyła się niespokojnie, a to, że czuła się teraz niekomfortowo, nieoczekiwanie dodało mi odwagi, bo przecież obcość wciąż bardziej była moja niż jej. Nie potrafiłem znaleźć na nią właściwych słów – być może te słowa w ogóle nie istniały po tej stronie – ale mogłem spróbować ją opowiedzieć, tak jak europejscy badacze długimi i zawiłymi zdaniami objaśniają pojęcia z języków odciętych od cywilizacji ludów.

— To nie jest formalne przesłuchanie?

— Mówiłam już, że nie.

— W takim razie może chciałaby pani posłuchać pewnej historii? Nazywam ją opowieścią o zniknięciu.

— Czy ta opowieść ma coś wspólnego z panem i Agnieszką?

— Tak.

— W porządku, mogę posłuchać. — Ponownie spojrzała w okno. Warstwa śniegu na framudze sięgała już kilku centymetrów, ale wiatr nie stracił ani odrobiny wściekłości, jakby postanowił, że dziś właśnie pogrzebie nas żywcem. — Mamy mnóstwo czasu.

## II. Opowieść o zniknięciu

Marta zniknęła pięć dni przed Wigilią, w samym centrum Katowic, podczas świątecznego jarmarku. Na wysokości nosa zapach wędzonych ryb toczył bój z korzenną wonią grzanego wina, wyżej bożonarodzeniowe dekoracje w kształcie sopli kapały srebrnym światłem, a po fasadzie Separatora spacerowały powiększone do gigantycznych rozmiarów duchy śnieżnych płatków. Dziesięć minut wcześniej Piotrek zgodził się entuzjastycznie z Martą, że wszystko to jest strasznie kiczowate, zwłaszcza zaprzężona w renifery karoca i aniołmuzykant, który z ich perspektywy wyglądał trochę tak, jakby trąba wyrastała mu prosto z ramion. Pięć minut wcześniej równie entuzjastycznie przytaknął, kiedy dziewczyna powiedziała, że jednak jest w tym świątecznym kiczu nieodparty urok.

Pomyślał wtedy, że ten właśnie wieczór zapamięta do końca życia – nawet dla niego brzmiało to naiwnie, ale nie zamierzał się przejmować.

Później puścił rękę Marty i zgubił dziewczynę na ślizgawce, niewielkiej, ale mocno tego wieczoru zatłoczonej. Potknął się – oboje od dawna nie jeździli na łyżwach i teraz chwiali się niczym pijani, podtrzymując się i chichocząc – i nim udało mu się odzyskać równowagę, Marty nie było. Przez kilka minut Piotrek krążył, zdezorientowany, na próżno wypatrując znajomego czerwonego płaszczyka wśród grudniowej obfitości kurtek, polarów i innych okryć, potem oddał łyżwy i ruszył szukać narzeczonej między straganami.

Nie martwił się, wtedy jeszcze nie. Był młody, wierzył w miłość do grobowej deski i wciąż sądził, że złe rzeczy zdarzają się tylko w ciemności, w niebezpiecznych dzielnicach, dzieciom albo naiwnym nastolatkom. Nie tutaj, w tłumie i powodzi świątecznych świateł, nie dwudziestotrzyletniej, rozsądnej i energicznej studentce, która zaczepiającym ją typom dziarsko pokazywała „fucka”, która nie otwierała drzwi, jeśli nie wiedziała, kto za nimi stoi, i nigdy nie odpowiadała na wiadomości od nieznanomych.

Nie wtedy, gdy z głośników płynęły dźwięki *Cichej nocy*, a za pięć dni, w wigilijny wieczór, Piotrek i Marta mieli oficjalnie ogłosić zaręczyny.

Chodził więc i szukał cierpliwie, tworząc w głowie najbardziej prawdopodobne scenariusze: zgłodziła i poszła kupić coś do jedzenia, zobaczyła w tłumie